Bernard Guetta

POPULIZM W CIENIU HABSBURGÓW

Węgierskie pytania (a także polskie, austriackie i włoskie)

universitas

POPULIZM W CIENIU HABSBURGÓW

Polecam

Adam Michnik

Bernard Guetta

POPULIZM W CIENIU HABSBURGÓW

Węgierskie pytania (a także polskie, austriackie i włoskie)

przekład
Jolanta Kurska

wstęp
Adam Michnik

Kraków

Tytuł oryginału
Bernard Guetta, *L'enquête hongroise (puis polonaise, italienne et autrichienne)*
© Editions Flammarion, Paris, 2019

© Copyright for the Polish translation by Jolanta Kurska
and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS

© Copyright for the Polish edition by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2020

Wstęp © Copyright by Adam Michnik

ISBN 978-83-242-3697-8
e-ISBN 978-83-242-6520-6
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Barbara Turnau

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Mojej ulubionej naczelnej

„Nie wszystkieć, prawda, umierały, ale
Zaraza wszystkich zesłabiła wcale”

Jean de La Fontaine, *Bajki*,
„Zwierzęta chore na dżumę”

tłum. Jan Noskowski

Guetta – wieczny idealista

Bernard Guetta to wybitny dziennikarz francuski, dawny korespondent „Le Monde" w Warszawie, w Waszyngtonie, w Moskwie. Obecnie jest eurodeputowanym z partii prezydenta Macrona. Ta książka to próba diagnozy choroby naszego czasu: agresywnego populizmu o cechach autorytarnych, nacjonalistycznych. Guetta analizuje tę chorobę na przykładzie Węgier, Polski, Italii i Austrii. Cechą jego pisarstwa jest zdolność do stawiania pytań. Ten pisarz potrafi słuchać i wyławiać ze słów swego rozmówcy to, co najistotniejsze.

To, co usłyszał teraz, nie brzmi zbyt optymistycznie. Autor widzi różnice między poszczególnymi krajami, ale widzi też to, co wspólne, wyczuwa ten sam zapach – zapach świata podminowanego frustracją i rozczarowaniem do zespołu wartości zrodzonych z ducha chrześcijaństwa i Oświecenia. Przekładając to na język polityki – widzi kryzys demokratycznej prawicy, czyli chrześcijańskiej demokracji, i demokratycznej lewicy, czyli socjaldemokracji. Siły nabiera duch autorytarny Orbána i Kaczyńskiego, Salviniego i Putina, Trumpa i wodzów państwa chińskiego.

To jest przeto kryzys świata wartości pokolenia Bernarda, pokolenia 1968 roku. Stąd osobisty ton tego rozrachunku. Pokolenie '68 to pokolenie kontestacji i sprze-

ciwu, buntu w imię tego osobliwego hasła: bądź realistą, chciej tego, co niemożliwe.

We Francji i w Niemczech, w Italii i w Hiszpanii, a także w Czechosłowacji, w Polsce, w Jugosławii i w Związku Sowieckim, we wszelkich środowiskach buntu był to czas, gdy zachwiała się ziemia, zakołysało się niebo. To było wielkie przebudzenie i wyplucie knebla konformizmu, tchórzostwa, strachu. Ten bunt naznaczył naszą wrażliwość; stał się doświadczeniem pokoleniowym, etycznym i politycznym.

Byliśmy różni: nasi rówieśnicy we Francji czy Italii nosili portrety Lenina i Trockiego, a czasem Mao Tse-tunga; protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie, segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych, rozliczali generację swoich rodziców za faszyzm i za stalinizm. Co nas łączyło? Przecież my chcieliśmy po prostu żyć w państwie wolności i prawa. Łączył nas duch nonkonformizmu, niezgody na milczenie. Tak więc sztandary i hasła były mylące. Nasi rówieśnicy z Zachodu kontestowali świat mieszczańskiej demokracji parlamentarnej, gospodarki rynkowej w imię utopii socjalistycznej; my w Polsce, w Czechosłowacji manifestowaliśmy w imię socjalizmu bez kłamstwa i dyktatury, w imię demokracji, prawdy i sprawiedliwości – dla nas na tym miał polegać socjalizm. Często nie rozumieliśmy się wzajemnie. A jednak wystarczyło kilka spotkań i rozmów, by odnajdować poczucie wspólnoty.

Ciekawa była też solidarność władz: konserwatywne rządy zachodniej Europy, a zwłaszcza formacje skrajnej prawicy, były zadziwiająco zgodne z reżimami komunistycznymi Moskwy czy Warszawy: po obu stronach żelaznej kurtyny kontestatorzy byli określani jako antynarodowi, kosmopolityczni wichrzyciele.

W 1968 roku kontestatorzy nie zmienili rządów, ale zmienili swoje społeczeństwa. Zmieniły się wtedy oby-

czaje, opinie, sposoby rozumienia swojego świata. Kontestatorzy dokonali tego przez swoją obecność w tym świecie, przez swoje zachowania, publikacje, filmy, spektakle teatralne, wiersze i eseje. W Polsce minął czas wiary, że system można zmienić przez reformę partii komunistycznych. Kultura – ta wysoka i ta popularna – przemówiła innym językiem. Świetną książkę na ten temat napisała Lidia Burska.

Bernarda poznałem w Paryżu w 1976 roku na konferencji międzynarodowej poświęconej dwudziestej rocznicy Października 1956. Organizatorami tej konferencji był węgierski emigrant Péter Kende i dwóch Polaków: Krzysztof Pomian i Aleksander Smolar. Bernard omawiał sens tej konferencji na łamach „Nouvel Observateur" w sposób bardzo dla mnie życzliwy. Wtedy porozmawialiśmy – i tak się zaczęła nasza przyjaźń. Potem Bernard przyjechał do Warszawy jako korespondent dziennika „Le Monde". Zaprzyjaźnił się prędko z ludźmi z opozycji demokratycznej, z Jackiem Kuroniem, z Karolem Modzelewskim, z Janem Strzeleckim, także ze mną. Ta przyjaźń przetrwała aż do dzisiaj. Potem Bernard opisywał stan wojenny. Wielu z nas odczuwało jego osobistą troskę. Pamiętam, jak do ośrodka internowanych przysłał mi zimą ciepłą, futrzaną czapkę. Potem Bernard opuścił Polskę. Pracował w Waszyngtonie, a potem był korespondentem w Moskwie. Akurat nastał czas pierestrojki. Od innych komentatorów Bernarda różniła perspektywa życzliwości i sympatii do polityki Gorbaczowa, reformującego zdegradowany, skorumpowany sowiecki system. Miał świetne relacje z ludźmi z kręgu reformatorów kremlowskich, a także ze światem wielopokoleniowej i wielobarwnej szachownicy dysydentów.

Zmiany w świecie komunizmu fascynowały go – widział w tym, co się działo w Moskwie, Warszawie czy Budapesz-

cie, historyczną szansę dla świata. To był jakiś powrót do marzeń o lepszym świecie z 1968 roku. Zwieńczeniem tych procesów była „Jesień ludów" 1989 roku. Droga do tego była długa i wyboista. To była praca nad odnowieniem nadziei, tych z 1968 roku, tych z 1980 roku, tych z epoki stanu wojennego i podziemia.

Rok 1989 był czasem ważnym dla Bernarda i dla tego pokolenia. Wielu z nas uwierzyło, że odtąd może być już tylko lepiej. Stąd dzisiejsze zdumienie tym, co się stało z wieloma bohaterami tamtych dni.

W książce Bernarda jest smutek, ale nie ma lamentu. To jest smutek z zaciśniętymi zębami, ponieważ Bernard Guetta to konsekwentny Europejczyk, który wierzy w Europę scaloną. Po przekreśleniu dyktatu Jałty i zburzeniu muru berlińskiego. Guetta to wyznawca wartości oświeceniowych, wrażliwy na pytania metafizyczne i rolę tradycji narodowych; to liberał o sercu człowieka lewicy; to trzeźwy entuzjasta Unii Europejskiej, wolnej od fanatyzmu i zakłamania, pragmatycznej, zagradzającej drogę brunatnym i czerwonym totalitaryzmom.

Bystrej obserwacji Bernarda towarzyszy ukryty przekaz moralny: dopóki mogę pracować dla lepszego świata, będę to czynił. To też przekaz tego pokolenia, naszego pokolenia.

No więc próbujmy dalej, Bernardzie.

Guetta jednoznacznie i odważnie opowiada się po stronie Europy, po stronie europejskiej demokracji z rynkiem, parlamentaryzmem, pluralizmem i prawami człowieka. Ma świadomość, że ten system, choć pełen grzechów, jest tym najlepszym, co dzisiaj świat polityki może nam zaoferować. To książka gorzka, ale odrzucająca kapitulację. Guetta wierzy, że naszą demokrację i naszą Europę można uratować.

Adam Michnik

Trzecia faza w historii Unii Europejskiej. Wstęp do wydania polskiego

Nigdy tego nie robię, gdyż nie można pisać na nowo raz już wydrukowanego tekstu. To, co się stało, już się nie odstanie, zwłaszcza że każdy następny dzień jest znacznie ważniejszy od poprzednich. Nienawidzę czytać tego, co już napisałem, ale tym razem nie mam wyjścia.

Chcąc napisać wstęp do polskiego wydania tej książki, która powstała dwa lata temu, musiałem otworzyć ją ponownie. I tak oto w sierpniu 2020 roku zobaczyłem rozdźwięk pomiędzy moimi ówczesnymi lękami i dzisiejszymi nadziejami. Próbowałem zrozumieć myślenie narodowych konserwatystów i skrajnej prawicy u władzy na Węgrzech, w Polsce, w Austrii i we Włoszech. Dlatego udałem się tam w reporterską podróż. Niemniej podobne formacje sprawują władzę w Turcji, w Indiach, na Filipinach, w Chinach, w Rosji i, co najgroźniejsze, w Stanach Zjednoczonych, najpotężniejszej i najbogatszej demokracji, bez wsparcia której Europa jest bezbronna.

Byłem wtedy przestraszony.

Wpadłem w panikę, słysząc, jak moi budapeszteńscy rozmówcy kwestionują zdobycze Oświecenia. Dziś jednak odzyskałem wiarę w przyszłość, ufny w porażkę Trumpa (oby niebiosa mnie wysłuchały!), przekonany, że UE będzie musiała zaistnieć jako gracz na międzynarodowej sce-

nie, i uspokojony, widząc, że świat – z UE na czele – zrywa z dogmatyzmem zrównoważonego budżetu, który tak bardzo przysłużył się nowej, skrajnej prawicy.

Dziś jestem wyraźnie mniej posępny, niż byłem po reportażu z Węgier, Polski, Austrii i Włoch. Z jakich powodów?

Wcale nie najważniejsze jest to, że koalicja austriackiej prawicy ze skrajną prawicą się rozpadła ani że włoski Ruch Pięciu Gwiazd zerwał ze skrajnie prawicową Ligą Północną. Już wówczas przedstawiciele wiedeńskiej inteligencji, włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd i Ligi Północnej przekonywali mnie, że zawarcie sojuszu austriackiej prawicy z Zielonymi czy Ruchu Pięciu Gwiazd z Partią Demokratyczną to tylko kwestia czasu.

Nie to jest najważniejsze, że w wyborach samorządowych w 2019 roku kandydaci węgierskiej opozycji zwyciężyli w dziesięciu największych miastach w kraju, a polski obóz demokratyczny tak bardzo się umocnił podczas kampanii prezydenckiej w 2020 roku. I nawet nie to jest najważniejsze, że przejście Europy Środkowej na skrajnie prawicowe pozycje będzie pewnego dnia zaledwie wspomnieniem i że niebawem przestaniemy myśleć, iż kraje, które wyszły z komunizmu, są mniej przywiązane do wolności niż te ze starego, wolnego świata.

Te jakże szczęśliwe zmiany dobrze wróżą demokracji, lecz to nie one, ani nawet nie spadek notowań Trumpa, zmniejszają moje obawy sprzed dwóch lat.

Jestem dziennikarzem. To mój prawdziwy zawód.

Europosłem się bywa, a reporterem nigdy nie przestaje, dlatego nawet jako deputowany od 2019 roku nie przestaję czuć danego kraju, od wyjścia z samolotu. Od pierwszych dni w Brukseli wyczuwałem, że atmosfera wypełniona była czymś zupełnie nowym i tak urzekającym jak mocne per-

fumy. Zapach nowości unosił się na korytarzach, w kawiarniach, salach zebrań kosmopolitycznej, wielojęzycznej bańki, jaką jest Parlament Unii Europejskiej.

Co sprawiło, że tak szybko zdałem sobie sprawę z siły tej nowości? Nie wiem.

Zastanawiam się, ale nie wiem, jak to ująć, chociaż… Po namyśle… Tak. To było to!

W tej miniaturze Europy, w różnorodności dwudziestu ośmiu krajów, które liczyła Unia przed wyjściem Wielkiej Brytanii, na sali obrad, gdzie zasiadają przedstawiciele od skrajnej lewicy po skrajną prawicę, poprzez Zielonych, konserwatystów, socjaldemokratów i centrystów, do których należę, panowała jednomyślność. W jednej sprawie, ale jakże znaczącej: odrzucenie Trumpa.

Narodowi konserwatyści już nie ośmielali się powoływać na Trumpa, choć wcześniej tak bardzo oklaskiwali jego zwycięstwo. Centryści, socjaldemokraci i konserwatyści byli zbulwersowani jego wrogością wobec Unii Europejskiej i chęcią rozbicia sojuszu północnoatlantyckiego. Przedstawiciele skrajnej lewicy i Zielonych żywili do Trumpa niemal fizyczną odrazę. W Parlamencie Europejskim nie było trumpistów, a atlantyści, z centrystami na czele, stanowili nadal zdecydowaną większość. Wszyscy byli tak zaniepokojeni amerykańskim dryfem, że pojęcie „europejska obronność" przestało być tabu.

Przez długi czas wymawiali je tylko Francuzi. To była francuska mania, którą Unia tłumaczyła narodową megalomanią, zakorzenioną w czasach Ludwika XIV, Bonapartego, albo gaullistowską zazdrością wobec Unii, która odważyła się odebrać starej Francji status pierwszej obrończyni wolności. Przez wiele lat kwestia wspólnej obronności najpierw Unię złościła, potem wywoływała śmiech. Dziś jednak nikt już tej idei nie odrzuca, w każdym razie

nie otwarcie. Amerykański parasol jest zbyt dziurawy, by lekkomyślnie udawać, że tematu nie ma.

To nie były pewnie jedyne powody, ale coś pękło!

Po pierwsze, Donald Trump napiętnował Unię jako konkurenta gospodarczego. Zamierzał ją rzucić na kolana.

Po wtóre, dotąd uznawane za tabu unijne pojęcie „polityki przemysłowej" zyskiwało nieśmiało rację bytu. Stało się to tym łatwiejsze, że trzeba było nie tylko podjąć wyzwanie, jakie rzucił nam Biały Dom, ale także sprawić, by Unia była w awangardzie walki z globalnym ociepleniem, by wręcz stanęła na jej czele, wbrew Trumpowi, którego awanturnictwo i dyplomatyczne błędy przerażały Parlament Europejski, gdzie kompromis jest prawem.

Tak było, a potem wybuchła pandemia koronawirusa.

Pierwsze zręby „unii geopolitycznej", o której nowa przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen mówiła w swoim inauguracyjnym przemówieniu, zostały nakreślone, gdy trwała już kwarantanna. Pandemiczne wyhamowanie gospodarek postawiło UE przed wyborem: albo trzymamy się kryteriów z Maastricht, a wówczas zasada „każdy sobie rzepkę skrobie" szybko wzięłaby górę, doprowadzając do rozpadu Unii, albo zdecydujemy się wziąć wspólną pożyczkę, wspólnie ją zainwestować i stanąć na nogi.

Decyzja nie zajęła Unii więcej niż dwa tygodnie. Postanowiono odważnie o uwspólnotowieniu inwestycji. Pod podwójną i złowieszczą presją pandemii i Trumpa jedność europejska wkroczyła w trzecią fazę swojej historii: po wspólnym rynku i wspólnej walucie przyszedł czas na unię polityczną.

Bastion ochrony socjalnej i druga co do wielkości gospodarka świata, przestrzeń demokracji, której świat tak nam zazdrości i tak ją podziwia, kroczy odtąd drogą, któ-

ra może uczynić z niej – za dwadzieścia pięć lub trzydzieści lat, co w skali historii oznacza ledwie kilka sekund – jedną z trzech potęg XXI wieku.

Możemy mieć tę nadzieję, gdyż Unia zdała sobie w końcu sprawę, że nie ma innego wyboru, zarówno ze względu na oddalenie się Ameryki, chińską ekspansję, rosyjską nostalgię za wielkością, jak i chaos w świecie muzułmańskim i zagrożenia klimatyczne. Możemy mieć tę nadzieję, gdyż dla Unii alternatywa jest niezwykle prosta: być albo nie być, istnieć dalej albo stać się skansenem dawnej Europy.

Oto dlaczego piszę tę przedmowę z dużo mniejszym niepokojem, niż gdy redagowałem tę książkę dwa lata temu. Ale czy przepełnia mnie optymizm?

Nie. Wcale nie. Niestety. Bo za pierwszymi krokami muszą pójść kolejne. Te setki miliardów euro, które wspólnie pożyczamy, musimy dobrze zainwestować w europejski przemysł, tak, aby nasi współobywatele szybko dostrzegli korzyści w postaci nowych miejsc pracy i wzrostu siły nabywczej. I choć nie odrzucamy już idei wspólnej obronności, musimy zbudować europejski przemysł, na którym się ona opiera, wzmocnić nasze więzi ze Stanami Zjednoczonymi, aby nie pozwolić im się wycofać, oraz dojść do porozumienia w sprawie priorytetów europejskiej dyplomacji.

Dziś nasze gospodarki są jeszcze bardziej powiązane wspólnym długiem, lecz by go spłacić, będziemy musieli wyposażyć Unię w środki własne i zharmonizować nasze systemy opodatkowania i opieki społecznej.

Jednym słowem, wszystko jest do zrobienia. Teraz, gdy wkraczamy w trzecią fazę unii politycznej, będzie poważnie trzęsło. Jak nigdy dotąd. Bo wspólna obronność, polityka podatkowa, polityka zagraniczna i wspólne inwestycje będą czynnikami konfliktów i podziałów. Nie wspomina-

jąc o ciosach, jakie może nam zadać w przyszłości pandemia COVID-19.

Istnieje ryzyko porażki, która ponownie może otworzyć drogę dla narodowych konserwatystów, gdyż obezwładniający strach przed nowym światem, desperacka ucieczka do mitycznej przeszłości, rozczarowanie wolnością i pokusa dyktatury, którą obserwowałem w Rzymie, Wiedniu, Budapeszcie i Warszawie, nadal są żywe. Europejskie przebudzenie je tylko złagodziło. Porażka Unii Europejskiej bardzo szybko rozniecił aby je na nowo. To nie czas na optymizm. To czas na zdeterminowane działanie.

Prolog

Od którego kraju zacząć tę reporterską podróż? Od Algierii? Zawsze bardzo mnie interesowała. Od Wielkiej Brytanii? Muszę poczekać na rozwój sytuacji w tym kraju. Może od Iranu? Na pewno wybiorę się tam prędzej niż do Stanów Zjednoczonych. A teraz? Wiem. Cóż, kierunek podróży sam się narzucał: Europa narodowego konserwatyzmu i skrajnej prawicy, od Wiednia po Rzym, od Budapesztu po Warszawę.

Wprawdzie wahałem się, dokąd udać się najpierw, lecz nie miałem wątpliwości, że muszę wyruszyć w tę wieloetapową podróż. Podróż dookoła świata w dziesięć książek. Wiedziałem bowiem, że aby zrozumieć, dlaczego w tak wielu krajach na świecie odchodzono od demokracji, należy pojechać w teren, posłuchać ludzi i zobaczyć owe zmiany na własne oczy. Mój pomysł zrodził się, gdy Wielka Brytania postanowiła wyjść z Unii Europejskiej.

Prawdę mówiąc, brexit mnie nie zaskoczył, choć liczyłem, że do niego nie dojdzie. Nie obserwowałem od wewnątrz narastających antyeuropejskich nastrojów pośród Brytyjczyków. Dostrzegałem je z oddali, lecz nie do końca pojmowałem mechanizmy, które je napędzały. Toteż należało się temu przyjrzeć z bliska.

A cóż dopiero mówić o zwycięstwie Trumpa?

Dość szybko zorientowałem się, że Trump wygra prawybory. Było jasne, że w obliczu silnej radykalizacji ame-

rykańskiej prawicy Trump jawił się jako kandydat, który miał największe szanse podbić jej serca. Niemniej wygrana w wyborach prezydenckich wydawała się niemożliwa. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że umiarkowana prawica, centrum i lewica postawią tamę temu prostakowi. Dopiero pobyt w Nowym Jorku i rozmowy z wieloma ekspertami i dziennikarzami amerykańskimi uświadomiły mi, że wygrana Hillary Clinton wcale nie była taka pewna.

Na trzy dni przed głosowaniem niemożliwe stawało się prawdopodobne. Toteż przygotowałem trzy różne relacje prasowe: jedna o zwycięstwie Trumpa, druga o jego porażce, trzecia *too close to call*, na wypadek gdyby różnice między kandydatami były na tyle niewielkie, by je ogłosić w porannym programie France Inter. Ostateczny wynik wyborów mnie nie zdziwił, choć byłem oszołomiony i przerażony faktem, że Stany Zjednoczone oddały swój los w ręce takiego człowieka. Pierwsza światowa potęga, od której zależy międzynarodowy ład i bezpieczeństwo, wpadła w ręce niedouczonego megalomana, który już na początku kampanii podważał trwałość sojuszu atlantyckiego.

Zmieniało się wszystko, absolutnie wszystko, i nim na Florydzie potwierdzono zwycięstwo Trumpa, w Polsce u władzy była już nacjonalistyczna prawica, w Indiach zwyciężył Modi, na Filipinach – Duterte. Władimir Putin dokonał triumfalnej interwencji w Syrii, a Recep Erdoğan – przywódca tego samego autoramentu – sprowadził Turcję na ścieżkę dyktatury. To już nie był tylko trend, lecz prawdziwa lawina. Po zwycięstwie Trumpa na kolejną kadencję wybrano Viktora Orbána, skrajna prawica przejmowała władzę w Austrii i we Włoszech, a Xi Jinping – także nacjonalistyczny konserwatysta – zmieniał konstytucję, by zapewnić sobie dożywotnią prezydenturę.